

Rozdział 12 Nawróceni Chińczycy

Wąską uliczką szedł z wielką godnością w każdym ruchu pan Nee, ubrany w dobrze skrojoną żółtą jedwabną szatę z szerokimi rękawami. Tragarze noszący na głowie szorstkie słomiane kapelusze, z sandałami na nogach, posuwali się z respektem na bok, gdy go widzieli nadchodzącego, rzeczą oczywistą było bowiem, że był to mąż nauki; umiejący nie tylko czytać, ale rozumiejący arcydzieła klasycznej literatury. Jako taki miał prawo cieszyć się respektem niewykształconych i prostaków. Ci, którzy go poznawali, przypominali też sobie, że jest on zamożnym kupcem, a dla tej przyczyny biedni ludzie usuwali się z drogi. Pan Nee posuwał się więc z łatwością po ulicze pełnej szyldów, zwisających z domów jak gdyby chorągwie, i dwuskrzydłowych drzwi, ale cały czas umysł jego był zajęty rozmyślaniami o niepewnych kolejach życia, a bardziej jeszcze o tajemnicą osnutym zagadnieniu śmierci. Co więc dzieje się po śmierci? - to pytanie, które wciąż go nurtowało. Niepewność charakteryzująca ową ciemną niewiadomą powodowała, że czuł się nieswojo i niespokojnie. Gdzie by tu znaleźć drogę i prawdę, która by przyniosła ulgę i światło jego strwożonemu umysłowi?

Naraz uwagę jego zwrócił dźwięk dzwonka i odwrócił się, alby zobaczyć skąd pochodził. I oto tuż przed nim stały otworem dwuskrzydłowe drzwi wiodące do podwórza, w którym pan Nee ujrzał kilka osób przechodzących do długiego pomieszczenia, znajdującego się w głębi. Odniósł wrażenie, że po chwili rozpocznie się tam jakieś spotkanie, czy nabożeństwo.

"Co robią ci ludzie w tej salce?" zapytał jednego ulicznego sprzedawcę, stojącego przy swoim przenośnym straganie. "To jest Sala Jezusa", brzmiała odpowiedź. "Mieszkają tutaj ludzie z daleka, a po zadzwonieniu rozpoczynają swoje nabożeństwo".

"A co robią w czasie tego nabożeństwa?" pytał dalej, pan Nee.

"Śpiewają, a potem, czytają ze swoich Świętych Klasyków, po przeczytaniu zaś jakiegoś odcinka tłumaczą, co przeczytali".

Pan Nee raz jeszcze spojrzał na otwarte drzwi i wreszcie postanowił wejść do środka. Chciał się dowiedzieć, co też to jest za jakaś nowa religia. A może wyjaśnia ona coś z ciemnych tajemnic życia i śmierci? Gdy wszedł do środka, usiadł na jednej ze stojących tam ławek i spojrzał w kierunku małego podwyższenia, na którym stał młody mężczyzna, trzymający w ręku jakąś książkę i czytający z niej na głos.

Na pierwszy rzut oka młody ten człowiek wydawał się być Chińczykiem, nosił bowiem chiński strój, ale to, że nie był Chińczykiem można było jednak poznać po jego niebieskich oczach i jasnej cerze. Ale pan Nee nie tyle zainteresował się wyglądem młodego człowieka, ile raczej treścią tego co czytał i z najwyższym zainteresowaniem zaczął przysłuchiwać się opowiadaniu o rozmowie, jaką pewien Nauczyciel, zwany Jezusem, prowadził z człowiekiem, który do Niego przyszedł w nocy.

"I jak Mojżesz węża na puszczy wywyższył, tak musi być wywyższony Syn człowieczy, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny. Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto Weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny. Bo nie posłał Bóg Syna swego na świat., aby sądził świat, ale aby świat był zbawiony przezeń" (Jn.3,14-17).

Żywot wieczny! Tego właśnie pragnął pan Nee. Nie być osądzonym, lecz zbawionym! Gdy tak siedział w tej salce tego wieczoru; jego serce zapalało na skutek tego, co usłyszał. A więc Jezus, o którym opowiadał ten człowiek z dalekich stron i któremu oddawał cześć, to był Syn Boży. Przyszedł z Nieba na świat jako Człowiek i umarł na krzyżu, ponosząc karę za grzechy całego świata, a gdy przeleżał trzy dni w grobie, powstał z martwych wyszedł z grobu! Chodził i rozmawiał ze swoimi przyjaciółmi, aż wreszcie pewnego dnia opuścił ziemię i poszedł z powrotem do Nieba.. On właśnie pragnął dać żywot wieczny wszystkim tym, którzy Weń wierzą.

A więc taką jest owa droga! Siedząc tam, w salce, w której głoszona była Ewangelia, w której znajdował się rząd drewnianych ławek i okna zrobione z cieniutkiego chińskiego papieru ryżowego, pan Nee był najmocniej w sercu swoim przekonany, że to właśnie jest poszukiwana przezeń Droga. Coś w jego sercu w całej pełni zgadzało się z tym, co usłyszał - a tak uciekł wszystek jego smutek i dręczące uczucie niepewności! Gdy wreszcie Hudson zamknął swoją Biblię i skończył usługiwanie Słowem Bożym, pan Nee wstał z ławki. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, gdy odezwał się z charakterystyczną dla Wschodu powagą, choć cichym, spokojnym głosem:

"Długo szukałem prawdy, podobnie jak uczynił to już przede mną mój ojciec, ale bez skutku. Jeździłem daleko, aby znaleźć tę Drogę, ale jej dotąd nigdy znaleźć nie mogłem. Nie znalazłem odpocznienia w naukach Konfucjusza, w doktrynach buddyzmu i taoizmu - ale znalazłem odpocznienie w tym, co słyszeliśmy dziś wieczorem. Od tej chwili jestem wierzącym w Pana Jezusa".

I rzeczywiście - słowo jego okazało się prawdziwe. W prosty sposób wyjaśnił swoim znajomym, dlaczego odtąd już nie będzie się więcej kłaniał bożkom i ofiarował przed nimi kadzidło. Nabył Biblię i zaczął ją studiować, uczęszczał na nabożeństwa do tej małej salki, gdzie głoszone Ewangelię i niemal codziennie towarzyszył misjonarzom, gdy odwiedzali rodziny i gdy głosili Słowo Boże. Nee był óm pierwszym Chińczykiem, który się nawrócił od bałwanów do żywego Boga dzięki głoszeniu Słowa, przez Hudsona, lecz był tym, który może najdobitniej i w bardzo jasny sposób dokonał zmiany swego życia w wyniku słyszenia Ewangelii po raz pierwszy.

"Jak długo mieliście Dobre Wieści w waszym czcigodnym kraju, w Anglii?" zapytał pewnego dnia Hudsona.

Młody misjonarz zawahał się na chwilę z udzieleniem odpowiedzi... Ten szlachetnego rodu Chińczyk, który tak radośnie i z taką gotowością przyjął pełne miłości zaproszenie ze strony Boga żywego - bardzo pragnął, aby i inni usłyszeli o tej kosztownej wieści!

"Już od kilkuset lat", powiedział wreszcie Hudson, czując, że był to okres bardzo długi.

"Kilkaset lat!..." wykrzyknął Nee ze zdumieniem: "Czy to jest możliwe, że w waszym czcigodnym kraju Jezus był znany od tak dawna, a wy dopiero teraz przyjechaliście nam o Nim opowiedzieć?" Przed oczyma jego serca stanęła w tym momencie ukochana postać męża, którego bardzo umiłował, który z wielką uwagą czytał Klasyków, gorliwie uczęszczał do świątyń, aby padać na twarz przed milczącymi, nie dającymi żadnej odpowiedzi bałwanami, męża, który długo przesiadywał w cichym zamyśleniu i modlitwie, starającego się przeniknąć tajemnicę życia i śmierci... Na twarzy pana Nee malował się głęboki smutek.

"Mój ojciec szukał prawdy przez przeszło dwadzieścia lat", powiedział wreszcie powoli. Umarł, nie znalazłszy jej. Ach, dlaczego przyjechaliście do nas tak późno?"

Dzięki entuzjastycznemu opowiadaniu przez pana Nee wszystkim wokoło o Panu Jezusie, nawrócił się do Niego również Wang, który był koszykarzem. Pan Wang był bardzo pogodnym i pełnym werwy człowiekiem. W jego życiu chrześcijańskim nie obeszło się bez jednego czy dwóch potknięć ale co do jego szczerości nie było najmniejszej wątpliwości. Przyzwyczajony był do pracy przez całych siedem dni w tygodniu - jak to zresztą czynili wszyscy ludzie żyjący w jego otoczeniu, ale tylko tak długo, dopóki nie przyłączył się do wierzących w Chrystusa. Gdy bowiem usłyszał, że Żywy Bóg przykazał, aby jeden z siedmiu dni został poświęcony na święty odpoczynek, rozkazowi temu poddał się bez wahania. Oznaczało to, że jego pracodawca nie dawał mu w tym dniu żadnego jedzenia, ani też królewskiego wynagrodzenia wynoszącego aż dwa pensy za każdy dzień pracy, chociaż spodziewano się od niego, że za sześć dni wykona tyle pracy ile poprzednio wykonał w siedmiu dniach! Niemniej koszykarz Wang uważał, że warto było ponosić te ofiary, szczególnie w chwali, gdy mógł siedzieć w Sali Jezusa w każdą niedzielę i słuchać cudownych opowieści ze Świętej Księgi. A gdy jego rozgniewany pracodawca poinformował go w czasie sezonu, gdy było szczególnie dużo pracy, że jeśli nie chce pracować w jego warsztacie w niedziele, to może wcale do pracy nie przychodzić - Wang zdecydował, że musi poszukać pracy gdzie indziej.

W poniedziałek rano odwiedził więc innego koszykarza, starając się znaleźć pracę u niego - ale ten go nie przyjął, poszedł do innego, ale z takim samym skutkiem! Przemaszerował przez całe miasto, nic nie wskórawszy Jakkolwiek wszyscy mieli bardzo dużo pracy, nikt jego nie chciał zatrudnić. Wreszcie Wang doszedł do wniosku, że to sam diabeł usiłuje mu utrudnić życie dlatego, że postanowił słuchać Słowa Bożego w niedzielę, a nie pracować.

"Muszę dać mu odpór", pomyślał Wang. Bynajmniej nie miał zamiaru tego rodzaju trudności przyjąć w duchu jakiejś rezygnacji! Wręcz przeciwnie! Był to bowiem człowiek prawdziwie ożywionego serca i ducha. "Ja mu dam odpór! Jeśli nie dopuści do tego, abym znalazł inną posadę, wówczas czas mój poświęcę wyrwaniu dusz z jego królestwa!" Nie zrobił więc dalszych starań w kierunku znalezienia posady, ale wziął do ręki plik traktatów i wyruszył na ulicę, aby tam wszcząć rozmowę z każdym człowiekiem, który tylko zechciał posłuchać o Jezusie! W ten sposób właśnie spotkał Wanga - gospodarza.

Wang - gospodarz dopiero co przeżył przedziwną przygodę. Leżał zupełnie sam i to w dodatku chory w swoim domu w małej wiosce O-Zi, gdy nagle usłyszał jak ktoś woła go po imieniu. Wiedząc, że nikogo z jego domowników nie ma w domu, z trudem wygramolił się ze swojego dużego, w cztery słupy opatrzonego łóżka, aby pójść do drzwi i otworzyć je. Ale nie było przy drzwiach nikogo, położył się więc z powrotem do łóżka. Po chwili po raz drugi usłyszał, jak ktoś go woła. I znów powlókł się do drzwi - ale i tym razem nie było tam nikogo. Bardzo się przestraszył i przykrył się wraz z głową swoją watowaną kołdrą. Był przekonany, że to musiał być sam Król Piekła, który przyszedł go ostrzec, że nadchodzi chwila śmierci!

Potem znów się odezwał głos - mówiący mu, że nie potrzebuje się obawiać, gdyż nie umrze, a raczej wyzdrowieje! A gdy wyzdrowieje, winien udać się do miasta Ningpo, odległego o trzydzieści mil, gdzie się dowie o nowej religii. Ta religia - tak dalej mówił ów głos - przyniesie pokój jego sercu.

I ku zdumieniu wszystkich domowników, gospodarz Wang rzeczywiście wyzdrowiał! Przypomniawszy sobie otrzymane polecenie, udał się do Ningpo - ale nadaremnie szukał po całym mieście owej nowej religii. Wydawało się, że nikt o niej nie słyszał. W mieście Ningpo zatrzymał się przez kilka tygodni, utrzymując się ze sprzedaży trawy, którą ścinał i przynosił ludziom mającym bydło, które trzeba była karmić, a przez cały czas miał nadzieję, że wreszcie usłyszy coś o tej religii, która by przyniosła pokój jego sercu. Znalazł ją jednak dopiero tego poniedziałku, gdy spotkał Wanga -koszykarza.

Otóż Wang-koszykarz siedział w herbaciarni, gorliwie rozmawiając z grupą mężczyzn, siedzących tam i popijających herbatę. Mówił o Bogu, którego nazywał Jezusem, który miał moc odpuszczania grzechów - właśnie w momencie, gdy Wang-gospodarz wchodził do tego lokalu, siadając przy stoliku. Może ci inni słuchacze przyjmowali to, co było mówione przez kaznodzieję, obojętnie, ale jeden człowiek z całą pewnością zaczął słuchać z największą uwagą, aby nie uronić nawet jednego słowa - a człowiekiem tym był Wanggospodarz! Całkowicie głuchy na szum zmieszanych rozmów prowadzonych przez szereg osób, siedzących na swoich bambusowych krzesłach wokół stolików i pijących herbatę, jak gdyby nie słysząc krzyków i wołania ulicznych sprzedawców, dochodzących z wąskiej ulicy, Wang-gospodarz chciwie wchłaniał każde słówko płynące z ust człowieka, z taką żarliwością opowiadającego siedzącym wraz z nim przy sąsiednim stoliku osobom. Odpuszczenie grzechów i wolne wejście do Nieba dane było wszystkim tym, którzy przychodzili do tego Boga, Jezusa!... Czyż nie była to owa nowa religia, która miała mu przynieść pokój serca?

Wang-gospodarz opuścił herbaciarnię w towarzystwie Wanga-koszykarza. Cały wieczór spędzili przy zagłębianiu się w treść Nowego Testamentu, a potem Wang-gospodarz został poinformowany, że musi się udać do Sali Jezusa, gdzie nauczyciel, przybysz z dalekich stron, będzie w stanie jeszcze więcej mu opowiedzieć o religii Jezusa. Wang-koszykarz położył się do łóżka tego wieczoru z świadomością, że rzeczywiście mu się udało wyrwać jedną duszę z królestwa diabła!

Już wcześniej rano we wtorek otrzymał posadę. Przyjął go do pracy pierwszy koszykarz, do którego zwrócił się z prośbą o zatrudnienie - i to bez wahania. Wang wkrótce potem dowiedział się, co sprawiło taką nagłą zmianę w jego losie. Otóż jego poprzedni pracodawca okrutnie rozgniewany na Wanga, który stanowczo odmówił mu wykonywania pracy w niedzielę, zwrócił się do wszystkich koszykarzy, należących do tego samego grona co i on, aby nie przyjmowali do pracy Wanga, gdy ten zwróci się do kogoś z nich o pracę w poniedziałek. Dlatego też Wang nadaremnie szukał tego poniedziałku pracy. Ale teraz był już wtorek, a nie poniedziałek a więc sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Był to sezon, przy tym Wang był bardzo dobrym koszykarzem, a choć może jego poprzedni pracodawca miał coś innego na myśli, prosząc, aby Wanga nie zatrudniano w poniedziałek, to w każdym razie padło tylko słowo "poniedziałek" !... Stąd każdy z tych koszykarzy, którzy odmówili mu przyjęcia do pracy, byłby go chętnie przyjął już następnego dnia!

Już po kilku dniach od momentu, gdy Hudsonowi został przedstawiony przez Wanga-koszykarza, Wang-gospodarz, tenże Wang-koszykarz przyprowadził do Sali Jezusa jeszcze jednego człowieka. Tym razem był to malarz, którego poznał na podwórzu pewnej bogatej rodziny, do której się udał w celu sprzedania im koszy. Panie mieszkające w tym domu zaraz go otoczyły, stojąc na swoich maleńkich, silnie związanych nóżkach, pragnąc nabyć małe koszyki, potrzebne im do przechowywania kadzidła. Ale takich koszyków nie posiadał, z gniewem zaczęły go wypytywać, dlaczego nie ma takich koszyków, a wtedy prostolinijny w swoim obcowaniu Wang wyjaśnił, że jako wierzący w Pana Jezusa, prawdziwego Boga, nie mógł mieć do czynienia z bałwanami. A przecież kadzidło to było ofiarowywane właśnie bałwanom i dlatego nawet nie chciał mieć do czynienia z koszykami, w których kadzidło przechowywano! Przez chwilę panie przysłuchiwały się jego wyjaśnieniom o tej jakiejś dziwnej nauce o Jezusie, ale wnet miały tego dosyć i nadeszły z powrotem do wnętrza domu. Już zbierał swoje kosze, mając zamiar opuścić to miejsce, gdy nagle stanął przed nim jakiś młody mężczyzna ubrany w strój roboczy zagadnął go następującymi słowami:

"O czym pan mówił przed chwilą? Pan mnie nie widział, gdyż ja byłem tam na górze, malując". Wypowiadając te słowa wskazał na drabinę opartą o ścianę, tuż pod barwnie pomalowanym., zwisającym, zaokrąglonym dachem "Pragnąłbym usłyszeć coś więcej jeszcze o tych sprawach, jakkolwiek to, co pan powiedział, słyszałem całkiem wyraźnie!"

Wangowi nie trzeba było takiej prośby powtarzać dwa razy i oto malarz raz jeszcze przysłuchiwał się cudownym wieściom o żywym Bogu, który pragnął zbawić, a nie karać tych, którzy zblądzili! Gdy opowiadający zaprosił go wreszcie, aby przyszedł do Sali Jezusa, by się o tych sprawach dowiedzieć czegoś więcej - ten chętnie na to przystał.

Gdy Hudson zobaczył nowego przybysza, skłonił głowę w uprzejmym pozdrowieniu i życzliwie się uśmiechnął. Wang-koszykarz okazał się w całej pełni dobrym rybakiem ludzi! Niedawno przyprowadził Wanga-gospodarza, a oto znowu przyprowadza kogoś nowego! Spojrzawszy w ciemne, poważne oczy stojącego przed nim młodzieńca w roboczym stroju zapytał go grzecznie:

"Czy wolno zapytać jak pana godność?"

"Moje biedne nazwisko", brzmiała odpowiedź, "jest Wang".